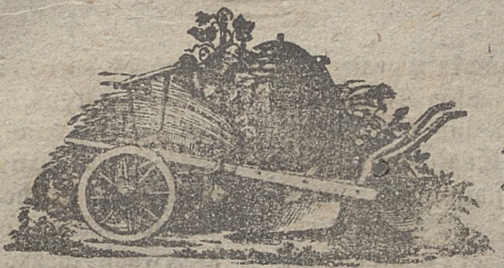
Rok V^ty. Nr. 37.

Szkółka  niedzielna

Módl się i pracuy, a będziesz szczęśliwym.

Leszno. — *Niedziela piętnasta po Zielonych świątkach*, dnia 12. Września 1841.

Religia.

Żywot świętego Benedykta, opata,

pisany przez świętego Papieża, Grzegorza Wielkiego.

(Z księdza Skargi.)

Benedykt (to iest błogosławiony) imieniem i łaską był wielebnego żywota mąż, od saméy młodości serce stare maiący, bo lata obyczaymi przechodząc, do żadnéy się rozkoszy nie wdał, ale tu na ziemi będąc, gdy ieszcze świata mógł używać, tak nim iako uschłym kwiatem wzgardził. Urodzony w powiecie nursyiskim (ziemi włoskiéy) w uczciwym domie, dany był do Rzymu na świeckie nauki. Tam gdy iuż był iedną nogą do nauk wstąpił, nazad się wrócił. A wzgardziwszy nauki, dom i rzeczy oycowskie, samemu się Panu Bogu chcąc podobać: na żywot się świątobliwy zdobywać chciał. A wyszedł umieiętnym bez nauki i mądrym w nieumieiętności. O iego sprawach wszystkich wiadomości nie mam, ieno tę trochę, com od czterech iego uczni słyszał, powiadam, to iest: od Konstantyna, przewielebnego męża, który na iego mieysce w klasztornym urzędzie wstąpił; od Walentyniana, nad laterańskim klasztorem przełożonego; od Symplicyusza, który trzeci po nim opat był; i od Honorata, który dziś ieszcze w téy celi, gdzie on mieszkał, przebywa. Gdy tedy porzuciwszy nauki, iść na pustynię umyślił; na drodze onéy pokazał Pan Bóg cudem iednym, iako mu przedsięwzięcie iego miłe było. Bo gdy mamka iego, która go więcéy nad inne miłowała, i zostawić go niechciała; w miasteczku Efryde, gdzie był od przyiaciół zatrzymany, naczynie iedno pożyczane stłukła, a o to bardzo płakała; on iéy się użaliwszy, modlić się Panu Bogu począł; i skoro modlitwy dokonał, naprawione iako pierwéy, i całe ono naczynie uyrzał. To się wnetże wsławiło u ludzi, tak iż tamże u kościelnych drzwi Piotra świętego ono naczynie na pamiątkę zawieszone było. Ale święty Benedykt sławy się ludzkiéy strzegąc; taiemnie mamki onéy i przyiaciół odbieżał; na pustynię się, którą Sublakus zowią, ośm mil od Rzymu, udał. Na drodze mnich ieden, na imię Romanus, potkawszy go, wypytał się o iego świętéy myśli, i za prośbą iego, zataiwszy rzecz onę, żywność onemu świętemu młodzieńcowi na puszczę nosił. Na któréy w iednéy iaskini trzy lata przemieszkał, a nikt o nim, okrom owego Romana, nie wiedział, który na wysoką opokę nie mogąc do niego włazić, przez dzwonek o sobie pod górą dawał znać; a Benedykt święty powróz spuszczał, a chleb sobie wciągał. A gdy go Pan Bóg lu-

dziom oznaymić, a Romula z pracy wybawić (chciał) miał: aby świeca ona w domu Bożym świeciła innym; w dzień wielkanocny, iednemu Kapłanowi, który był sobie dobry obiad nagotował, w widzeniu rzekł Pan Bóg: „Ty sobie rozkoszne potrawy gotuiesz; a sługa móy na tém a na tém mieyscu głodem zmorzony iest:“ i wnet się wziąwszy, potrawy porwał i szukał Benedykta świętego po lesiech i przykrych górach, i chróstach, iż go nie rychło nalazł w iaskini onéy. Gdzie się pierwéy pozdrowiwszy i modlitwę Panu Bogu uczyniwszy, rzecze Kapłan: wstańmy ieść, bo dziś iest wielkie święto wielkanocne. A Benedykt święty rzekł: „Wielkanoc dziś u mnie, gdyś ty mnie nawiedził.“ Bo nie wiedział, ieśli tego dnia Wielkanoc była, tak dawno z ludźmi nie obcuiąc. Ale Kapłan twierdził iako rzecz prawdziwą, iż dziś Wielkanoc, a nie godzi się pościć; „i ia dla tego,“ powiada, „od Pana Boga do ciebie posłany iest, abyś głodne ciało swoie temi darami Bożymi posilił.“ A naiadłszy się pospołu, Kapłan się do domu wrócił. Tegoż czasu i pasterze go naleźli; a pierwéy mniemaiąc, aby był zwierz iaki, poznawszy, po błogosławieństwo do niego (chleba mu przynosząc) chodzili, i sami swe zwierzęce serca mienili. Ztąd on był oznaymiony ludziom, tak iż się do niego wiele ich schodziło, którzy za żywność, którą mu nosili, niebieskie potrawy z ust iego na sercu brali. Iednego dnia nieprzyiaciel ukazawszy mu się w osobie ptaka czarnego, a lataiąc około twarzy iego, gdy go krzyżem świętym odegnał, taką w ciele swém pobudkę do nierządności uczuł, iakiéy nigdy nie miał. A przywiódłszy mu na myśl niewiastę iednę, którą gdzieś widział, tak go iéy osobą rozpalił, i żłą żądzę w serce iego wrzucił, iż mało z onéy pustyni, pożądliwością rozkoszy zwyciężony, nie pobieżał. Ale Bóg łaską swoią nań weyrzał, iż ku sobie przyszedł, a chcąc się poratować, nago się po ostrém cierniu i parzących pokrzywach taczać począł: a zraniwszy i popaliwszy ciało swoie, przez wytoczenie krwi z swéy skóry, iadu onego zbył z serca; a rozkosz one w boleść sobie obracaiąc, gdy na wierzchu gorzał, ogień ugasił wewnątrz; i grzech zwyciężył, gdy zapalenie odmienił. Od tego czasu, iako sam powiadał, tak tę w sobie pokusę zwoiował, iż się oń potém nigdy nie pokusiła.

Potém wiele się ludzi, świat opuszczaiąc, do iego nauki udawało. A słusznie, bo sam na sobie grzech zwyciężywszy, dopiero innych mistrzem zostać miał. Przetoż u Moyżesza Lewitom od 25go roku bawić się służbą, a od pięćdziesiątego stróżmi im być naczynia Bożego kazano, bo w młodości, w cielesnéy pokusie ciało gorzeie, a od lat pięćdziesiąt ziębnieie iuż ogień pożądliwości: a gdy iuż z laty uspokoieni na umyśle, będą od onéy pokusy wolni, stróżami się naczynia Bożego, to iest doktorami dusz ludzkich, staią. Gdy ona pokusa odeszła, mąż Boży, iako z roli, z któréy się ciernie wykopie, pożytki cnót świętych taynieysze zbierał.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Rozmaitości.

Bieda.

Powiastka gminna.

Dawnemi czasy we wsi Niedopytaiewicach żyło dwóch rodzonych braci, Stach

i Ionek. Pierwszy był kmieciem, a drugi komornikiem. Stach był wielki sknera, nieużyty a chciwy; a choć się miał dobrze, narzekał na biedę. Ionek chuchrak, bezdzietny, nie mógł się biedzie opędzić. Na święty Woyciech iuż nie miał co w garnek wsypać i tylko żył z zmiłowania boskiego. Prosił on niekiedy brata o czwartkę ięczmienia, albo grochu, ale zawsze zamiast zapomóżki taką odbierał odpowiedź: „Nie mam bracie, Bóg widzi; nie wiem, czy się sam do żniw wyżywię.“ „Wiesz ty co,“ dodał ostatnią razą,“ na cóż się tak masz mozolić; rychléy, czy późniéy i tak cię Pan z komornego wyrzuci; idź sobie w świat, może ci się poszczęści.“ A mówił to dla tego, aby po iego odeyściu mógł z opuszczonego domu cichaczem ieszcze to lub owo drewno, rzemyszek lub kawałek wynieść żelazka. Ionek westchnął na takową radę, a przyszedłszy z próżnym miechem do żony, opowiedział ią. „Kiedyć mu iuż tak zawadzamy,“ rzekła, „toć albo póydźmy w świat. Iuż też święty Woyciech nie daleko, może cię Bóg iakiém dobrém mieyscem opatrzy.“ „„Kiedyć tak mówisz, toć cię i usłucham,““ rzekł Ionek. „„Iutro będzie iarmark w naszém mieście, sprzedam krowę i wołu, a kupię na drogę chleba i bóty.““ I tak się stało. Wracaiąc z iarmarku, spotkał się z bratem; powiedział mu, że usłucha iego rady, i że nazaiutrz raniutko opuści wieś. „Niech was Bóg prowadzi!“ rzekł Stach, i pożegnał się z nim. Skoro świt, Ionek zabrawszy swoie manatki, wyszedł z żoną na zapłocie; a gdy rozmyśla, dokądby się to udać, przypomina sobie, że nowe bóty zostawił w izbie na kołku. „„Matko!““ rzekł do żony, „„ady ia bótów zapomniał; usiądź tu sobie na kamieniu, wrócę ia się po nie. I poszedł. Wziął bóty; i gdy spogląda sobie ze łzami w oku po izbie, słyszy, że coś w stągiewce pluska i namięci. „„Nayslodszy mi go Iezus!““ zawoła, „„a tu co?““ „„To ia,““ odzywa się głos zbeczki, „„to ia, Bieda; chciałam lecieć za tobą i z pośpiechu wpadłam oto w stągiewkę; ady mnie wyratuy i weź z sobą, bo cóż tu sama mam robić!““ Ciężko się zrobiło Ionkowi na sercu; ale po nieiakim namyśle, wydobył ią z stągiewki, wsadził w bót i dobrze rzemykiem cholewę zawiązawszy, daléy na zapłocie. Tu opowiada żonie, co mu się przytrafiło; a nareszcie szepce iéy do ucha: „„Moia Iagusiu! dosyć iuż tego, aż mi sa w gardle ta bieda stoi; trzebaby też raz iéy się pozbyć; wiesz co? przywalmy ią tu kamieniem i wróćmy się nazad.““ „Zgoda!“ zawołała żona. Wzięli się do roboty, podważyli kamień, a wytrząsnąwszy podeń z bóta Biedę, przywalili ią, i iak gdyby się narodzili wrócili na stare śmieci. Kiedy się po izbie wesoło krzątaią, przychodzi braciszek. Nie w nos mu było, że ich zastał; nie wie, co powiedzieć, aż przecie się odzywa: „Ieszczeście to nie poszli?“ „„Oho,““ odpowie Ionek, „„iużeśmy przyszli i iuż więcéy nie póydziemy. Schwytałem Biedę, przywaliłem na zapłociu kamieniem; teraz na nowo zacznę gospodarzyć.““ „Kiedyć tak,“ rzekł z westchnieniem kmieć, „to i zostańcie; ale ia wam powiadam, że nie długo będzie tego wesela; wy i tak z biedy nie wyidziecie.“ Poszedł sobie iak zmyty, a było mu bardzo markotno. Cóż on tedy robi? Otó myśli sobie, poczekaycie ieno, odwalę ia kamień, uwolnię Biedę, a ona iuż ich znaydzie. I poszedł na zapłocie; słucha, a tu Bieda ięczy a ięczy. Przybliżył się do kamienia i pyta: „A cóż ci to Biedka?“ „„Ady,““ odpowie mu,

„„zmiłuycie się nademną! proszę was na Boga, odchylcie kamień; ten nicpoń Ionek mnie tu przywalił.““ Stach uradowany, że Biedą brata obdarzy, zasadza się pod kamień, i ledwo go nieco odchylił, wyskoczyła Bieda; iak go zacznie ściskać, iak mu zacznie dziękować; „„o móy Stachu poczciwy, iużci też nie wiem, iak mam za to zapłacić; już cię też więcéy nie opuszczę.““ Kmieć ią odpycha od siebie; ale darmo; ani rusz. Bieda nie chce do Ionka, do tego nicponia; bo się boi, aby iéy znowu nie przywalił kamieniem. „„Iuż ia was,““ woła, „„nie opuszczę aż do śmierci!““ I dotrzymała słowa. Ionek porosł w piérze, a Stachowi piórka opadły. Bo kto bezwstydnie kroi na zagubę brata, ten się sam z biedą poswata.

Rozwiązanie zagadki

w numerze 34. umieszczonéy.

Z czego nayczęściéy szlachcic, ksiądz, i chłop umiera? zapytał się Błoch żniwiarzy w czasie podwieczorku. Łamali sobie głowy; ten to, ów owo prawił; a żaden nie dał Błochowi zadowalniaiącéy odpowiedzi. On tedy tak się odezwał: „Szlachcic umiera z głodu; ksiądz z zimna, a chłop z rozkoszy.“ „A to iakim sposobem?“ zawołał obecny dziedzic. „Wielmożny Panie,“ rzekł Błoch, „kiedy szlachcic choruie, to mu doktorzy ieść zabraniaią, głodem go tylko męczą; musi więc z głodu umierać. Gdy ksiądz iest chory, i iuż bliski tamtego świata, to krewniacy powynosiwszy potroszę wszystko z iego domu, nareszcie i pierzynę z niego ściągną; umiera tedy z zimna. Chłop zaś iak na dobre zachoruie, to choć przez całe życie nie uznał mięsa, wtedy mu kobieta ostatnie kursko zabiie, a ugotowawszy woła: „„Oyciec, oyciec! ady ieno iedz.““ Ale gdzie mu się tam ieść chce; umiera więc z rozkoszy. „Smiali się wszyscy do rozpuku z zagadki Błocha; a on potrząsaiąc głową, zawołał: „a co? aboż to nie prawda!“
